

od niego pocztówkę, napisaną po pierwszym chrzcie wojennym oddziału legionowego; Oddział ten na rozkaz Komendanta Piłsudskiego przekroczył 6-go sierpnia 1914 roku granicę państwa rosyjskiego.

R O Z D Z I A Ł X.

We Lwowie pozostałem zupełnie osamotniony, gdyż cała rodzina moja wyjechała na ferie letnie do Królestwa Polskiego. Miała duże trudności w dalszym pozostawaniu na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego. Jako obywatele austriackich, chciano ich zesłać na Syberię. Jedyne dwoje najstarszych, urodzonych w Anglii, posiadało paszporty państwa sprzymierzonego z Rosją.

Najstarszy syn Michał, nie chcąc tracić czasu, pracował w warszawskim laboratorium bakteriologicznym, należącym do kuzyna mojej małżonki, dr. Serkowskiego.

Nadszedł dzień 3 września, w którym wielkie masy wojska rosyjskiego wkroczyły do Lwowa.

Część kolegów moich z politechniki opuściła to miasto przed samą inwazją rosyjską, udając się na zachód. Ja pozostałem na miejscu. Chodziło mi o to, aby rodzinę moją, gdy wróci do Lwowa, nie pozostawić bez opieki i bez środków do życia. Miałem przytym nadzieję, że po tak długim czasie od chwili emigracji mojej z pod zaboru rosyjskiego i w chaosie wojennym, polityczne czynniki rosyjskie zapomną o mnie.

A jednak pozostanie moje we Lwowie było bardzo ryzykowne. Wszak wszystkie rosyjskie placówki dyplomatyczne i konsularne miały księgi ewidencyjne, obejmujące poszukiwanych przestępców politycznych. Książkę taką pokazano mi zagranicą. Było tam i moje nazwisko, a obok niego parę zdań w języku rosyjskim: "Pięknego wzrostu, chód ma nadzwyczajnie spokojny. Obwiniony o udział w zamachu bombowym Zielińskiego". Oprócz książki

był jeszcze album z fotografiami, który też widziałem. W albumie znajdowała się moja podobizna a na drugiej stronie fotografia Józefa Piłsudskiego

Po wkroczeniu za wojskiem władz politycznych do Lwowa, dokonano aresztowań szeregu osób, które konsul rosyjski miał zanotowane. Mnie tam nie było, bo gdy przyjechałem ze Szwajcarii i jako profesor i obywatel szwajcarski nie budziłem podejrzeń. Z tego też powodu, nie zajrzano zapewne do ewidencji przestępców politycznych.

W przeddzień inwazji rosyjskiej byłem bardzo zajęty wyprawianiem bliskich krewnych inżyniera Karola Sulikowskiego na zachód i przy tej sposobności tak bardzo się zaziębiłem, że przez kilka miesięcy nie mogłem odzyskać zdrowia. Cały jednak mój wysiłek i trud, który trwał omal przez całą noc, okazał się daremny. Niewiasta z małymi dziećmi musiała pozostać we Lwowie, bo niepodobnieństwem było umieścić ją w którymś z wagonów pociągów ewakuacyjnych, zdobywanych z największą bezwzględnością przez uchodźców.

W listopadzie doczekałem się wreszcie powrotu do domu małżonki mojej z trojgiem dzieci. Rodzina przyjechała do Lwowa powozem mojego młodszego brata Ludwika, który gospodarował w majątku pod Włodzimierzem. Najstarszy syn Michał, któremu konsul angielski w Warszawie odmówił przedłużenia paszportu, udał się za moją poradą do Kijowa, gdzie urzędował konsul angielski, odnoszący się w przeciwieństwie do warszawskiego bardzo przyjaźnie do Polaków.

W Kijowie dostał się Michał do Instytutu bakteriologicznego. Gdy została zaprowadzona obowiązkowa służba wojska w Wielkiej Brytanii dwudziestoletni syn mój stanął przed dwoma alternatywami - wyjazdu do Anglii lub wstąpienia do rosyjskiego wojska. Wybrał drugą. Po zdaniu egzaminu bakteriologicznego, przydzielono go do badań przypadków infekcji cholerycznych, która wówczas w Kijowie grasowała. Po wykonaniu około tysiąca analiz, w końcu 1915 r. mianowano go zrazu zastępcą, a następnie komendantem pociągu

bakteriologicznego rosyjskiego Czerwonego Krzyżaw stopniu kapitana. Jakis czas stał ze swoim pociągiem w Mnastrzyskach i Buczacu niedaleko Lwowa.

Podczas inwazji rosyjskiej warunki materialne mojej rodziny były bardzo trudne. Zostałem odcięty od władz austriackich, straciłem tym samym pobory profesorskie, a razerwa, przywieziona ze Szwajcarii, już się wyczerpała. Ale i tym razem szczęście mnie nie opuściło.

Dyrektor zakładów elektrycznych miasta, Józef Tomicki, otrzymał pozwolenie na wyjazd do Kijowa, gdzie spotkał się z dr. Borowskim. Rozmowa z nim zeszła na temat trudnego położenia profesorów pozostałych we Lwowie pod okupacją rosyjską. Wówczas małżonka Borowskiego, która miała również wykształcenie lekarskie, przypomniała sobie, że jest dłużniczką moją. W rzeczywistości, w ostatnim okresie jej studiów szwajcarskich pomagałem jej materialnie, o czym oczywiście, jak w innych podobnych przypadkach, później nie myślałem. Ale dr. Borowska miała wszystko dokładnie zapisane; według zapisów tych pomoc moja wyrażała się dość znaczną sumką. Kasa moja została wydatnie zasilona.

Pozatym zjawił się pewnego dnia u mnie niejaki Kochański, dyrektor wielkiej gorzelnii w Sutiskach nad Bohem, w powiecie Winnickim; właścicielem jej był baron kurlandzki, ożeniony z Rosjanką ze sfer wpływowych. Miał on zamiar zbudować fabrykę technicznego chloroformu z alkoholu produkcji sutiskiej. Potrzebny chlor do wytwarzania chloroformu miał zamiar dostarczać za pomocą elektrolizy soli kuchennej, chciał bowiem wykorzystać sutiską elektrownię, opartą o energię wodną. Nie mogąc znaleźć w Rosji nikogo, kto mógłby się podjąć rozwiązania tego zadania, przyjechał do mnie, bo powiedziano mu, że jedynie prof. Moscicki, o ile nie wyjechał ze Lwowa, byłby w stanie zamierzoną wytwórnię wybudować.

470

Główną przyczyną braku odpowiednich specjalistów w Rosji był fakt, że

elektrochemia techniczna, była podówczas jeszcze mało znaną nauką na wschodzie Europy. Wszak katedra moja nie miała swojego odpowiednika nawet na politechnice wiedeńskiej.

Ewentualną zgodę moją, uwarunkowałem wyrobieniem dla mnie zezwolenia na wyjazd do Sutisk, dla zorientowania się w tamtejszych warunkach, oraz zapewnienia możliwości mojego tam przebywania przez czas dłuższy, podczas montażu urządzeń fabrycznych.

Dyrektor Kochański, przewidując to, przywiózł z sobą dostateczne pisma polecające do władz wojskowych we Lwowie, aby uzyskać dla mnie odpowiednie papiery.

W Sutiskach zastałem baronową, której mąż w stopniu generała znajdował się na froncie w sztabie Brusikowa. Pełnomocnym opiekunem całego majątku był emerytowany oberpolicmajster Moskwy. Nic więc dziwnego, że protekcja dla uzyskania potrzebnych mi zezwoleń była aż nadto wystarczająca.

Po zbadaniu sutiskich warunków i rozporządzalnych budynków, które można było dla wytwórni dostosować, pojechalismy do powiatowego miasta Winnicy, żeby tam umowę podpisać. Zażądałem 2000 rubli zaliczki; poza tem miano mi wypłacić po dostarczeniu projektu instalacji drugie 2000 rubli, a trzecie po wykończeniu i uruchomieniu fabryki.

Przy tej sposobności pojechałem do Kijowa, celem odwiedzenia tam moich znajomych. Z polskiej kolonii kijowskiej zastałem sytuację, która mnie zaskoczyła. Znaczna część polonii odnosiła się do Rosji, jako do przyszłej zbawicielki Polski. Wiara w Rosję była tu tak powszechna, że nie mogłem się powstrzymać od wypowiedzenia w mocnym i zdecydowanym tonie swych uwag krytycznych. Cisza, jaka zaległa po moim przemówieniu, wskazywała, że silne moje słowa nie trafiły do przekonania zebranych. Załowałem nawet swego występu, bo był on niebezpieczny. Widocznie jednak nie było w tym

towarzystwie żadnego nieobliczalnego fanatyka, bowiem nie nastąpiły po mojej wizycie w Kijowie żadne nieprzyjemne dla mnie konsekwencje.

Do domu wróciłem z pokaźną zaliczką, która umożliwiła mi ponieść pewne koszty, związane z projektowaniem fabryki, zapewniła na dłuższy czas środki materialne dla utrzymania rodziny i pozwoliła jeszcze udzielić pomocy potrzebującym kolegom.

Gdy już projektowanie zakładu przemysłowego zostało ukończone zawiadomiłem o tym dyrektora gorzelnii sutiskiej.

Przyjechał do Lwowa, lecz nie zdążył jeszcze zorientować się dobrze w przedstawionej mu pracy, kiedy już nazajutrz, zmuszony był wracać pośpiesznie do domu. Rosjanie zarządzili ewakuację. Kontrofensywa wojsk państw centralnych pod Gorlicami, rozwijająca się druzgocąco dla armii rosyjskiej, była powodem nagłej zmiany nastrojów także we Lwowie.

Ostatnia noc przed wkroczeniem wojsk austro-węgierskich do miasta, spędzali jego mieszkańcy w wielce panicznym nastroju. Ulice były puste a na wszystkich balkonach kamienic czuwali mężczyźni, obawiając się napadów rabunkowych cofających się oddziałów rosyjskich. Podczas tego czuwania rozmowa odbywała się z balkonów kamienic, a panika ludności doszła do ostatecznych granic, kiedy zaczął dochodzić niesamowity jęk z dzielnicy żydowskiej, oddalonej przecież od nas o jakieś półtora kilometra. Byłem również przygotowany do stanowczej obrony.

Austriacy, otrzymawszy tak niepokojące relacje ze Lwowa, przyspieszyli wkroczenie kawalerii do miasta dla ochrony życia i mienia ludności. Później wyjaśniło się że jęki w dzielnicy żydowskiej nie były uzasadnione. Dowódca oddziałów, osłaniających odwrót wojska rosyjskiego, przyzwolity człowiek, zarządził wszystko, aby nie dopuścić do grabieży w mieście; opuścił Lwów w ostatniej chwili przed wkroczeniem wojska austriackiego.

W miastach prowincjonalnych nie przeszedł odwrót wojska rosyjskiego tak spokojnie. Niemal wszędzie rabowano mienie, a gdzie indziej robiono nawet krwawe pogromy.

Wczesnym rankiem wkroczyła kawaleria austriacka, w której szeregach przeważali żołnierze narodowości polskiej. Pierwszy raz byłem świadkiem tak niezwykłego entuzjazmu ludności, nastroju - wprost histerycznego.

W kilka dni później, w lipcu 1915 roku, syn mój Józef, który właśnie ukończył 17 lat, zaciągnął się do legionów Piłsudskiego. W ślad za nim w rok później opuścił dom rodziców najmłodszy syn Franciszek.

Na politechnice, nie można było podejmować żadnych czynności, budynek był bowiem zajęty przez szpital wojskowy. Wobec tego, pojechałem do Krakowa, zaproszony przez profesora wyższej szkoły przemysłowej Stefana Ossowskiego, z którym przyjaźniłem się od czasu jego pobytu we Fryburgu.

Ossowski, po ukończeniu politechniki lwowskiej, odbywał we Fryburgu praktykę mechaniczną, przy budowie turbin wodnych. Po odparciu z Galicji wojsk rosyjskich, stał się energicznym inicjatorem sprawy budowy fabryki związków azotowych, mając na uwadze moje metody. Przy pomocy dyrektora galicyjskiego Banku Krajowego, Steczkowskiego udało mi się doprowadzić do sfinansowania tej budowy. Miała to być fabryka azotanu amonu, przeznaczona go jako nawóz azotowy dla rolnictwa w Małopolsce.

Oprócz metody kwasu azotowego, stosowanej w fabryce w Chippis, miała tu zastosowanie też druga metoda dla produkcji związków cjankowych. Z wyprodukowanych zaś cjanków miało się otrzymać amoniak, który w połączeniu z kwasem azotowym, tworzył ostateczny produkt nawozowy.

Po przyjęciu inicjatywy Ossowskiego, przystąpiłem bezzwłocznie do projektowania zakładu przemysłowego, obejmującego elektrownię i dwie fabryki, pracujące równoległe. Fabryki związków cjankowych nie budowano dotych-

czas w dużej skali, byłaby to zatem pierwsza wytwórnia cjaneków na świecie, podług metody elektrotermicznej.

Projektowanie swoje rozpocząłem w Krakowie, żona zaś z córką Heleną pozostawały nadal we Lwowie.

Jednocześnie z projektowaniem, trzeba było ustalić miejsce, gdzie miały by stanąć zakłady. Dla fabrykacji cjaneków byłoby najkorzystniej mieć do dyspozycji gaz ziemny, bo surowce dla niej stanowiły azot i węglowodór, najekonomiczniejszy w postaci gazowej. Dotychczasowe źródła gazu ziemnego w Małopolsce nie dawały jednak pewności, czy się szybko nie wyczerpią. Trzeba więc było budować elektrownię w Zagłębiu węglowym, a do produkcji pobierać węglowodory w postaci ciekłej. Wybór padł na Jaworzno, w bliskości ówczesnej granicy niemieckiej, gdzie istniały kopalnie węgla.

Po kilku latach, okazało się, że gaz ziemny znajdował się w Małopolsce w bardzo dużych ilościach. Nie mogłem odżakować, że nie zbliżyłem się z fabryką do źródeł gazu, bo zapewniłoby to najlepsze warunki dla produkcji cjaneków.

Projektowanie dwóch fabryk i elektrowni, odbywało się w szybkim tempie i bez przeszkód. Inżyniera Mrowca, którego miałem sposobność poznać bliżej jako współpracownika przed wojną we Lwowie, wyostałem z Legionów. Z budową gmachów, prowadzonych w własnym zarządzie też nie było kłopotu. Dopiero dostarczanie aparatury i maszyn w czasie wojny nastroczało dużo trudności, które spowodowały znaczne opóźnienie w uruchomieniu zakładu. Władze niemieckie celowo nie pozwalały wywozić z Niemiec zamówionych maszyn, przeznaczonych dla elektrowni jaworznińskiej. Niemcy bowiem rozbudowali dla potrzeb wojennych elbrzymie fabryki związków azotowych, uważali zatem tworzenie zakładów konkurencyjnych w Małopolsce, za niepożądane.

Te przyczyny sprawiły, że uruchomienie zakładów nastąpiło dopiero w wolnej Polsce.

W budowie fabryki kwasu azotowego nie mogłem natrafić na żadne niespodzianki, mając za sobą duże doświadczenie nabyte w Szwajcarii. Nowością był jedynie typ pieca elektrycznego, opracowany przez mnie jeszcze w Szwajcarii w skali laboratoryjnej, będący czwartym opatentowanym piecem z wirującym płomieniem mojego pomysłu. Sprawa natomiast metody cjankowej, stosowanej po raz pierwszy w skali fabrycznej, wymagała większych zachodów. Ale i te trudności zdołałem opanować i osiągnąć zupełnie zadowalające wyniki.

1440

Była to pierwsza elektrotechniczna fabryka cjanków na świecie, a sposób fabrykacji nie tylko górował nad innymi wówczas stosowanymi metodami produkcji cjanków, ale i do dnia dzisiejszego nie stracił swego przędającego znaczenia. Tymczasem metoda moja produkcji kwasu azotowego pozostała w tyle wobec nowego sposobu wiązania azotu, opracowanego technicznie w jednej z wielkich firm niemieckich.

W trakcie wyczekiwania na dostawy maszyn, byłem zajęty we Lwowie, gdzie stworzyłem instytut twórczej pracy pod nazwą "Metan"; mogłem w nim szkolić młode pokolenie w opracowywaniu nowych metod. Do współpracy zaprosiłem dr. Kazimierza Klinga, docenta chemii na uniwersytecie lwowskim, który później został profesorem. Nie mogę tu nie wspomnieć o współpracy inżyniera chemii Wacława Leśnińskiego, który po złożeniu egzaminu doktorskiego, został również profesorem politechniki we Lwowie.

Powołany do życia instytut, nie mając żadnych subwencji, musiał się utrzymywać z własnej pracy twórczej, sprzedając swoje patentowe nowości. Trzeba było więc wybierać zadania, po rozwiązaniu których, otrzymywało się realne podstawy do ich finansowania.

Wiadomym było, że w czasie wojennym praca w dziale naftowym miała

475

wielkie szanse powodzenia; wojna tworzyła bowiem dla przemysłu naftowego doskonałą konjunkturę.

Było zatem rzeczą celową, dla nowopowstałego instytutu, brać tematy z tej dziedziny przemysłu. Był to dla mnie zupełnie nowy dział nauki technicznej, który opanowałem w bardzo krótkim czasie.

Zaraz na wstępie udało mi się usunąć jedną z największych bolączek galicyjskiego przemysłu naftowego, która powodowała straty ropy naftowej, wynoszące tysiące cystern. Wdzieranie się wody, a właściwie solanki, pod dużym ciśnieniem do podziemnych pól naftowych tworzyło emulsję, posuniętą daleko w swej dyspersji. Emulsji takiej nie można było puszczać do rurociągów, bo wówczas zanieszyszczało się nią całą produkcję. Ropa taka, w postaci emulsji, przy dalszej przeróbce jej w rafineriach sprawiałaby trudności powodujące znaczne zwiększenie kosztów produkcji. Całą więc emulsję wpuszczano do rzeki, której woda ulegała przez to zanieczyszczeniu.

Czynniki rządowe nie mogły tego stanu rzeczy tolerować i wysunęły propozycję tworzenia wielkich stawów zwanych łapaczkami i przeznaczonych do zatrzymywania w nich emulsji; wyasygnowano nawet odpowiednią dotację na ich budowę. Zbiorniki te szybko się jednak zapełniały i nie wiadomo było co dalej czynić.

Zagadnienie to, znalazło się również na warsztacie pracy naszego instytutu. Przysłano nam butelkę z emulsją, zapraszając nas do współpracy nad usunięciem tej plagi.

W drodze z instytutu do domu w czasie około 10 minut, zadanie teoretycznie rozwiązałem. Było ono dla mnie tak łatwe jak sprawa szyb niepocących się w początkach mego pobytu w Szwajcarii, albo zarządzenie zawilgoceniu szyby wystawowej w magazynie londyńskim.

Moje teoretyczne rozwiązanie zostało już na drugi dzień potwierdzone laboratoryjnie przez dr. Klinga. Trzeba było pod odpowiednim ciśnieniem nagrzać emulsję powyżej temperatury wrzenia wody, aby wywołać momentalne prawie oddzielenie się czystej ropy od solanki. Ciśnienie kilku atmosfer okazało się przytem zupełnie wystarczające.

Aparatura nie przedstawiała już większych trudności. Doprowadziłem do tego, że działanie było ciągłe, z daleko idącą regeneracją użytej energii cieplnej.

W ten sposób wielkie ilości emulsji, które poprzednio ginęły i w dodatku sprawiały wiele kłopotu uzyskały pełną wartość czystej ropy.

Patenty opracowanej metody, przynosiły poważne dochody dla instytutu i osiągnęły łącznie pokaźną sumę kilkuset tysięcy złotych; stanowiły one podstawę materialną dla instytutu i umożliwiły rozwinąć jego dalszą twórczą pracę. Jako instytucja o charakterze wyraźnie społecznym, nie dawała naturalnie żadnych zysków prywatnych.

Zbliżywszy się bardziej do przemysłu naftowego, opracowałem cały szereg patentów, z których część została zrealizowana, przynosząc dalsze dochody naszemu instytutowi. Nie tu jest jednak miejsce do wyszczególniania wszystkich moich prac naukowo-technicznych

Sporo patentów uzyskałem już w niepodległej Polsce, gdzie jednak nie było jeszcze warunków do ich finansowania. Z tej racji większa ich część nie mogła być wyzyskana.

Kiedy Piłsudski likwidował Legiony, nie chcąc dopuścić do dalszego ich współdziałania po stronie państw centralnych, niemieckie czynniki wojskowe stworzyły obozy koncentracyjne dla zbuntowanych legionistów pochodzących z zaboru rosyjskiego; władze austriackie zaopiekowały się legionistami pochodzenia austriackiego.

W tym to właśnie czasie odbywał się w Przemyślu sąd wojenny nad szeregiem legionistów, których przestępstwa uważano za najbardziej karygodne. Była tu więc zebrana także cała oficjalna komenda Legionów, narzucona Piłsudskiemu przez Austriaków.

Sąd odbywał się przy drzwiach zamkniętych, przy obecności czterech przedstawicieli społeczeństwa polskiego. Jako jeden z tych przedstawicieli, przebywałem przez cały czas trwania sądu w Przemyślu i słuchałem pięknej obrony samych podsądnych. Przewodziła obrona ^{Mariusza} ~~Maria~~ Zaruskiego, późniejszego generała w wojsku polskim i generałnego adiutanta Prezydenta R.P. Stanisława Wojciechowskiego. W przemówieniu dał Zaruski obraz swojego godnego życia, robiąc, tak treścią jak i formą, wielkie wrażenie na słuchaczach. Może nawet talentem swoim zawdzięczał uratowanie życia.

Dwaj moi młodszy synowie, Józef i Franciszek, znajdowali się wówczas również w Przemyślu, pełniąc, jako prości szeregowi, służbę łączności przy austriackiej komendzie Legionów. Bo chociaż skierowałem ich z osobistymi moimi listami do ideowo rzeczywistego Komendanta Legionów, Józefa Piłsudskiego, to jednak nie dotarli do niego i zostali, przez czynniki nieprzychylnie Piłsudskiemu, skierowani do oficjalnej komendy. Byli oni, do czasu odkomenderowania ich do Przemyśla, zupełnie ^{od} ~~izolowani~~ izolowani od fermentów buntowniczych, które przechodziły Legiony. I dopiero tam postanowili wystąpić z formacji ochotniczej i zgłosić się do wojska austriackiego.

Komenda Legionów miała tak duży wpływ na swoich najbliższych podkomendnych, że z otoczenia tego jedynie moi synowie i jeszcze jeden ich kolega zdobyli się na wykonanie swojej rewolucyjnej decyzji.

Postępek synów był widocznie bardzo źle widziany w Komendzie, bowiem opinia, z jaką zostali wyprawieni przez szefa sztabu do władz wojskowych Krakowa, miała dla nich bardzo niemiłe następstwa. Spotkali się

tam, ze strony podoficera z silnymi represjami: ogolono im głowy, zniszczono zupełnie umundurowanie przy przeprowadzaniu desyntezy i zastosowano ponadto cały szereg celowych szykan, które świadczyły najwyraźniej o złośliwym nastawieniu przełożonych.

Wkrótce jednak, po swoich ciężkich przeżyciach wstępnych zostali puszczeni do domu wobec braku pełnoletności. Skorzystali więc ze swobody, aby ją wykorzystać dla dokończenia średniego wykształcenia i zdobycia matury.

Najstarszy syn Michał, który był czynny po stronie rosyjskiej w charakterze komendanta pociągu bakteriologicznego, był zmuszony wycofywać się ze swoim pociągiem, równocześnie z cofającym się, w panicznym nastroju wojskiem. W drodze był narażony na bombardowanie z powietrza, przyczym jeden z celnych pocisków, zniszczył mu parę wagonów i zabił kilku sanitariuszy. Wycofywanie pociągu było jednak nieprawdopodobnie powolne, bo zawodziła ciągle podstawianie parowozów. Jedynie dzięki posiadaniu większych zapasów alkoholu dla celów laboratoryjnych, mógł sobie jako tako radzić i torować drogę, legitymując się skutecznie, pełnymi butelkami, wobec komendantów i zawiadowców stacji, maszynistów i kierowników pociągów. Alkohol posiadał wielką moc przyciągającą, bowiem w całej Rosji istniała wtedy prohibicja.

Łapownictwo rosyjskie, znane było jeszcze przed wojną w całej Europie. W kolejnictwie dawanie łapówek nazywano smarowaniem osi. Smarując dobrze osie, miało się wszystko na skinienie; bez tych smarów nie można było niczego osiągnąć. Podczas wojny, nawet wysokie czynniki wojskowe, musiały stosować smarowanie osi zmilitaryzowanej kolei, bez tego bowiem, transporty wojskowe natrafiały na przeszkody nie do przewyciężenia.

Magiczny wpływ alkoholu doprowadził w końcu pociąg mego syna do Kijowa; tu oddany został zarządowi Czerwonego Krzyża.

479

Od tej chwili został syn zwolniony ze swych obowiązków, otrzymawszy jednocześnie zaległe pobory. Nowego rozkazu otrzymać nie mógł, bowiem ferment w wojsku rosyjskim z powodu rewolucji bolszewickiej przybrał bardzo szerokie rozmiary, a poza tym pozostawało już niewiele czasu do zajęcia Kijowa przez wojska państw centralnych, które parły coraz dalej ku wschodowi.

Niespodziewana przygoda, sprawiła memu synowi duże kłopoty. Oto w czasie odprowadzania bliskiej kuzynki na dworzec, jeden z pijanych żołnierzy, w przystępie udanego sentymentu, rzucił mu się na szyję i przy tej sposobności wyciągnął mu z kieszeni portfel, zawierający nie tylko całą posiadaną gotówkę ale i wszystkie papiery osobiste.

Opanowanie Kijowa przez wojska państw centralnych, umożliwiło synowi powrót do Lwowa. Tutaj policja miejscowa, która była narodowości polskiej, wydała mu paszport w pełnej świadomości, że nie był obywatelem austriackim i brał udział w wojnie po stronie nieprzyjacielskiej. Dr. Piątek z oddziału paszportowego policji, któremu przedstawiłem otwarcie sprawę syna, przyczynił się do zalegalizowania pobytu jego w domu rodzicielskim.

Kiedy z początkiem 1918-go roku państwa centralne zawarły z Rosją bolszewicką pokój, oddając jej ziemie polskie po Bug a nawet dużą część ziemi lubelskiej, nastąpiło wśród Polaków wielkie rozgoryczenie. Brzeskie decyzje określono jako czwarty rozbiór Polski. Najenergiczniej i najbardziej jawnie zaprotestował przeciw temu Kraków. Zrywano w całym mieście orły państwowe, a otrzymane ordery austriackie rzucono na ulicę bądź też nawet przywiązywano je psom do ogonów, Lokal konsulatu niemieckiego doszczętnie zdemolowano.

W rozruchach galicyjskich było wiele przypadków zniewagi okupanta austriackiego. Wiedeń szykował się do odwetu. Zamierzano bezwzględny

terrorem uśmierzyć zbuntowanych Polaków. Wystarczyła jednak podróż Namiestnika Galicji do Wiednia, ażeby odwieść władze centralne od radykalnych sankcji. W przeciwnym razie musiałoby dojść do doniosłego w następstwa starcia ze społeczeństwem polskim, któremu przybyliby bowiem niewątpliwie z pomocą żołnierze narodowości polskiej.

Pod koniec października 1918 roku, postępujący rozkład w wojsku austriacko-węgierskim przybrał już takie rozmiary, że zaczęto wycofywać z Galicji wszystkie oddziały, pozostawiając na miejscu jedynie formacje ruskie. Polaków zaś zwalniano do domu. Wojskowe czynniki austriackie, opuszczając Galicję, postanowiły jej część wschodnią oddać Rusinom i z tej racji wykonywali swój plan dywersyjny w stosunku do przyszłej Polski z całą skrupulatnością. Opuszczone przez siebie koszary we wschodniej części Galicji, oddawali wojskowym ruskim łącznie z pełnym uzbrojeniem.

Dopiero w nocy 31 października dowiedzieliśmy się o dywersji austriackiej.

Weczesnym rankiem, dnia 1 listopada, grupa studentów, prowadzonych przez Ludwika Wasilewskiego, w której znajdował się także i mój najstarszy syn, zabrała ze szpitala w politechnice trochę, znajdujących się tam karabinów i udała się do Domu Techników, umacniając jego obronność workami z piasku. Oprócz tego, utworzył się jeszcze inny ośrodek obronny w szkole Sienkiewicza, grupujący byłych legionistów i członków Polskiej Organizacji Wojskowej. Jednak młodzież polska, która, natychmiast po ujawnieniu zdrady austriackich czynników wojskowych, stanęła do obrony zagrożonego polskiego miasta, nie posiadała prawie zupełnie broni. Pewne wzmocnienie w uzbrojeniu grupy techników nastąpiło, po zabraniu karabinów z amunicją z koszar, których nie zdążono jeszcze oddać Rusinom, po opuszczeniu ich przez węgierskie formacje wojskowe. Przy opanowaniu tych koszar przez bezbronných studentów, brał poważniejszy udział syn mój Michał.

W czasie opuszczania politechniki przez młodzież i ja się tam znalazłem, a powracając do domu na ul. Zyblikiewicza, musiałem przechodzić przez szereg ulic gęsto ostrzeliwanych przez wojska ruskie.

Na drugi dzień, cały już prawie Lwów znajdował się w rękach Rusinów. Jedyne niewielką część miasta w okolicach politechniki bronili Polacy. Całą dzielnicę, w której znajdowało się moje mieszkanie, opanował nieprzyjaciel. Grożono mi rozstrzelaniem, o ile znalezionoby u mnie broń. Jakkolwiek dałem zapewnienie, że broni nie posiadam, miałem ją, ukrytą w piwnicy.

W pierwszych dniach inwazji ruskiej, tereny miejskie, opanowane przez obydwa wrogi sobie obozy, nie były jeszcze rozgraniczone i pewna cyrkulacja z obydwu stron się odbywała. Naturalnie, że przenoszenie broni czy też amunicji było połączone z dużym niebezpieczeństwem.

Po dokonaniu u mnie rewizji, trzeba było ukrytą broń przenieść do części miasta bronionej przez Polaków. Właśnie syn mój nastarszy, który wpadł do domu po bieliznę, skorzystał ze słabo oświetlonych ulic, aby przenieść broń do naszych. Wprawdzie żołnierz ruski stojący po drugiej stronie, wypalił do przesuwającej się pod murami sylwetki mojego syna, na szczęście jednak chybił.

Pomimo, że Austriacy oddali omal całe miasto w ręce Rusinów, to jednak stan ich posiadania z dnia na dzień się uszczuplał. Prosty żołnierz ruski nie chciał walczyć i korzystał z każdej sposobności, ażeby porzucając broń, powrócić do rodzinnego domu. Liczebny stosunek, jak jeden po stronie polskiej do dziesięciu po stronie ruskiej, uznawano za zupełnie normalny.

Pobył mój z małżonką i córką w czasie walk lwowskich, można było porównać do pobytu w więzieniu, lub bodaj nawet gorzej, bo trzeba było przecież samemu dbać o wyżywienie, a na ulicę nie wolno było wychodzić.

Rzadko tylko można było z pewnym ryzykiem wybiegać na ulice nieco spokojniejsze po bardzo ograniczone zakupy aprowizacyjne.

Wreszcie, po trzech tygodniach walki w mieście, wpadli pewnego ranka wszyscy trzej synowie, obarczeni ciężkim ekwipunkiem wojskowym. Radość w domu była wielka. Powiadomili nas, że odsiecz nadeszła a nieprzyjaciel pędzący z miasta uchodził, poczym^e podążyli za innymi w kierunku przez dowództwo wskazanym.

Lwów, który prawie sam uporał się z inwazją ruską, zasłynął jako bohaterkie miasto i zdobył do swego herbu krzyż *Virtuti Militari*.

Rozpatrując jednak bliżej obronę tego miasta, dochodzi się do przeświadczenia, że zawdzięczała ją legionistom i organizacji P.O.W. stworzonych przez Piłsudskiego oraz licznym zastępom kobiet lwowskich. Były one zorganizowane w tak zwanej Lidze Kobiet, która działała od początku światowej wojny, pozostając pod urokiem i wpływem Twórcy Legionów i Polskiej Organizacji Wojskowej. Kobiety te wytwarzały wśród rodzin własnych i sympatyzujących z nimi, potężne nastroje patriotyczne.

Przeważająca część mieszkańców miasta, do której nie dotarły ożywcze fale Komendanta Józefa Piłsudskiego, zachowała się zupełnie biernie. Ta bierność części młodzieży lwowskiej była powodem, że nawet dzieci obojga płci rodzin członków Ligi Kobiet wystąpiły do walki, uciekając samowolnie z domów rodzicielskich. Liczebna przewaga walczących ze strony ruskiej nad polską, była niewspółmiernie duża i dzieci słyszały o tym od starszych.

Wiele tych "Orląt" lwowskich zginęło, poświęciwszy swe młode życie.

Na przykładzie lwowskim widziało się bardzo wyraźnie, jak nadzwyczajnie wielki wpływ na podniesienie ducha narodowego miała działalność Józefa Piłsudskiego.

Dzięki temu, że małżonka moja przez dłuższy czas stała na czele organizacji Ligi Kobiet, miałem sposobność przypatrywania się z bliska społecznej działalności polskich kobiet. Podczas całego okresu brania udziału Legionów w wojnie, Liga Kobiet w Małopolsce, a specjalnie we Lwowie z dużym poświęceniem niesła pomoc legionistom, zaspakajając ich potrzeby odzieżowe i materialne na froncie i w miastach małopolskich. W akcji tej kobiet polskich zwracała na siebie uwagę wielka ich serdeczność w odnoszeniu się do żołnierzy polskich. Siostry i matki nie byłyby w stanie więcej uczucia wkładać przy świadczeniach wobec swych braci i synów, będących w potrzebie.

Patrząc na to wszystko, zdawałem sobie sprawę z tego jak wielkie znaczenie mają dla narodu potężne uczucia kobiet. Nie wyobrażam sobie bez nich masowego bohaterstwa narodu w obronie swego kraju.

Gdy Brygadier Piłsudski, przyjeżdżał do Lwowa z frontu, mógł się czuć tak, jak wśród najbliższych.

Wszystkie wybitniejsze członkinie Ligi Kobiet były mi osobiście znane i mógłbym cały szereg nazwisk wymienić. Nie czynię jednak tego ze względu na obecne ciężkie warunki naszego Kraju.

Wyparcie inwazji ruskiej ze Lwowa, nie zakończyło jednak walk z Rusinami na prowincji, gdzie jeszcze przez dłuższy okres czasu trwały wzajemne zmagania; natrafiali tu Polacy na zwiększający się opór przeciwnika. Widocznie agitacja robiła swoje.

Łąka się więc bratnia krew w dalszym ciągu. A jednak przecież w dawniejszych czasach, nie tak długo jeszcze przed wojną światową, zupełnie inne stosunki panowały we wschodniej Małopolsce. Nie czyniono tam żadnej różnicy pomiędzy Polakami i Rusinami. Mieszane małżeństwa były już tak liczne, że pokrewieństwa wzajemne stosunkowo głęboko przenikały.

Wprawdzie religie były różne, ale znajdowały się one pod wspólnym zwierzchnictwem Rzymu. Większość cerkwi grecko-katolickich powstała kosztem polskiej szlachty, która posiadała tu znaczne obszary w swych rękach. W wypadkach większej odległości od kościoła rzymsko-katolickiego, chrzczone dzieci i brano śluby polskie w bliżej położonych cerkwiach grecko-katolickich. W ten sposób bardzo duże ludności wiejskiej uległo rutenizacji, lecz nikt z tego powodu nie robił żadnej kwestii. W przeciwieństwie do tego w miastach, które poza liczną ludnością żydowską, były prawie zupełnie polskie, mogło się odbywać zjawisko odwrotne, a mianowicie polonizacja Rusinów. Jedynie antagonizmy socjalne tu występowały. Większe obszary ziemskie należały do Polaków, a lud ruski na małych swych zagrodach cierpiał niedostatek. I chociaż źródło tego antagonizmu było samo przez się bardzo mocne, to działanie jego szło tylko w kierunku polskiej warstwy uprzywilejowanej. Wystarczyłoby więc przeprowadzić rozumnie polską rację stanu, wymagane reformy socjalne, żeby usunąć wszelkie źródła antagonizmu na obszarach małopolskich o mieszanej ludności. Gdyby Polska niepodległa powstała jeszcze w czasie zgodnego współżycia obydwóch narodowości, to nie byłoby większych trudności z przeprowadzeniem daleko idącej reformy socjalnej, bo sama nieliczna warstwa posiadaczy ziemskich nie byłaby w stanie temu przeszkodzić. Bardziej radykalne rozstrzygnięcie reformy rolnej byłoby wówczas dla całego omal społeczeństwa polskiego bardzo popularne.

Sztuczna jednak agitacja w Małopolsce wschodniej, którą rozpętały czynniki polityczne austriackie i niemieckie w czasach przed wielką wojną, wytworzyła duży zastęp demagogów, siejących najbardziej skrajną nienawiść do narodu polskiego.

Największą wylęgarnią demagogii ruskiej były rodzinne domy duchowieństwa grecko-katolickiego. Młodzież, pochodząca z nich, była najbardziej

wrażliwa na podszepty, idące z zewnątrz. Bo jakkolwiek duchowieństwo grecko-katolickie było materialnie nieźle sytuowane, to jednak w porównaniu z duchowieństwem rzymsko-katolickim, miało trudniejszy dostęp na gruncie towarzyskim do dworów polskich. Polscy księża pochodzili z różnych warstw, od najniższej do najwyższej, a przebywając wspólnie w seminariach i wyższych zakładach naukowych wytwarzali w swym środowisku towarzyskie wyrobienie, dostosowane do wymagań socjalnie wyższych warstw polskich. Ruscy duchowni tych warunków nie mieli. Prawie wszyscy pochodzili ze środowisk samego duchowieństwa, żenili się również z niewiastami tego pochodzenia. Dawało to specyficzny styl towarzyskiego stosunku, który w sferach ziemiańskich mniej chętnie był widziany. Te na pozór mało znaczące fakty budziły w rodzinach duchowieństwa ruskiego niezadowolenie i wrogie nastroje, które napewno miały duży wpływ na wychowanie młodego pokolenia.

Rzym nigdy nie miał szczęścia w Polsce ze swoim wschodnim obrządkiem religijnym. Polacy zawsze byli świadomi że ta jego polityka nie harmonizowała z racją stanu Polski.

Wkrótce po wyparciu wojska ruskiego ze Lwowa powstała możność upragnionego mego wyjazdu do Krakowa, przede wszystkim zaś do Warszawy, dokąd wrócił już z Magdeburga Józef Piłsudski. W drodze do Krakowa ostrzeliwali nas jeszcze w pociągu Rusini.

Gdy się znalazłem w stolicy tworzącego się wolnego i niepodległego Państwa, doznałem wielkich wzruszeń. Wszak tutaj, przed 26 laty, udało mi się uwolnić z pod łap najbrutalniejszych ciemiężycieli, ale jednocześnie zmuszony byłem się rozstać ze swoimi rodakami na lat 20. Podczas swego dwuletniego bytowania za granicą cierpiałem i z tęsknoty za własnym krajem i z racji beznadziejnej jego przyszłości. Ale cierpiałem jako wolny człowiek z zachowaniem pełnej godności osobistej. I wreszcie, po zrobieniu w Europie dużego koła, zamykam je w Warszawie, ale jakże innej od tej, którą

przed laty opuściłem. Idąc przez ulice miasta, musiałem kilkakrotnie siebie samego zapewniać, że to nie sen, a pełna rzeczywistość.

Dalsze wspomnienia będą dotyczyły moich spostrzeżeń z całego czasu istnienia Rzeczypospolitej Polskiej, Jej życia i rozwoju.

R O Z D Z I A Ł XI.

Celem ułatwienia zrozumienia moich spostrzeżeń z życia nowopowstałej Rzeczypospolitej Polskiej. nawiążę do czasów przedrozbiorowych, z końca XVIII w., jak również do okresu niewoli,ciągącego się do roku 1918.

Państwa, przypominając swoją skomplikowaną strukturą organizmy zwierzęce czy ludzkie, przechodzą, tak jak one, różne okresy rozwoju i niedomagań. W takim stanie niemocy znalazła się Rzeczpospolita Polska w okresie przedrozbiorowym. Rozkład wewnętrzny nadwątlał z wolna jej potęgę zdobytą w ciągu wieków, niszcząc równowagę Państwa. Zakłócenia zaś harmonii życia społecznego musiało wpłynąć na osłabienie jej organizmu, dając silniejszym sąsiadom sposobność i podniecie do wykorzystania tej niemocy.

Główną przyczyną silnego osłabienia Polski w tym czasie był monstrualny wzrost przywilejów magnacko-szlacheckich, niespotykany w historii innych krajów. Budził on w uprzywilejowanej warstwie społeczeństwa bezgraniczną samowolę, a niepłacenie podatków na administrację i wojsko wprowadzało bezład w organizację Państwa,

Ta sama szlachta, która w dawniejszych czasach wykazywała wielkie zalety rycerskie i niezwykłą gotowość poświęcenia dla ojezyny, z czasem, pod demoralizującym wpływem przywilejów niszczących najpiękniejsze wartości, stoczyła się w otchłań ciemoty umysłowej; tylko nieliczni wytrwali na należytych poziomie.

Po pięknych okresach rozkwitu, straciła Polska równowagę tym łat-

487